

W ~~kwietniu~~ 1942 roku otrzymałem kolejne wezwanie do stawienia się na wyjazd na roboty do Niemiec. Matka, obawiając się konsekwencji, bo było nas w domu kilkoro, a ojciec siedział na Pawiaku, uprosiła mnie żebym się zgłosił. Nie było wyjścia. Spakowałem się i poszedłem do gminy, skąd samochodami przewieziono nas na stację kolejową w Mordach. Stały tam gotowe do odjazdu tabory na Smoleńsk. Przebrano mnie w mundur organizacji TOT, której zadanie polegało na budowie wszelkiego rodzaju fortyfikacji i umocnień. Wieczorem Niemcy zaczęli szukać gospodarzy, aby zaopiekowali się końmi i podwodami, od których uciekli właściciele obawiający się wywiezienia na Wschód. Ja się nie przyznałem, ale kiedy część tych, co się zgłosiła, też nawiała, to Wachman bez pytania zabrał i mnie.

Zrobiłem co mi kazali, ale kombinowałem jak uciec. Ponieważ nie mogłem oddalać się od zaprzęgu, kucnąłem koło koni za potrzebą. Niemiec wrzasnął na mnie i pokazał ubicację. Już wtedy wiedziałem, że jest okazja do ulotnienia się. Przeskoczyłem na drugą stronę murku dzielącego budyneczek i schowałem się w stercie szyn. Wachman gdy zorientował się, że uciekłem, bardziej chyba dla usprawiedliwienia swego gapiostwa niż w nadziei, że mnie dostanie, zaczął strzelać. Zrobiło się zamieszanie i Niemcy zarządzili przeszukanie terenu. Tak mi się wydaje, że uciekła prawie połowa Polaków. Dla pewności skryłem się w pobliskim stawie, tak jak i kilku innych kolegów.

Wieczorem wyszliśmy z wody i pobiegliśmy do lasu bejdowskiego. Poszedłem do domu i dałem znać matce, która przyniosła mi ubranie. Był to ostatni raz kiedy byłem w swojej wsi - musiałem szukać pomocy u innych. Poszedłem do Wiśniewa. Mieszkał tam mój kuzyn, ale on nie mógł ukrywać mnie - sam miał małe dzieci. Porozmawiał jednak z sąsiadem i ten obiecał skontaktować mnie z partyzantami. Po kilku dniach otrzymałem polecenie stawienia się u tego sąsiada. Kiedy siedziałem w izbie usłyszałem, że ktoś wchodzi. Drzwi się uchyliły i zobaczyłem człowieka ubranego w polski mundur. Był to tamtejszy komendant AK por. Sochacki, pseudonim "Cezary". Porozmawiał ze mną, zapytał, dlaczego chcę wstąpić do partyzantki. Co miałem odpowiedzieć? Na polityce się nie znałem, to powiedziałem prawdę, że muszę się gdzieś ukryć, bo Niemcy na pewno mnie już szukają.

Niebawem złożyłem przysięgę na krzyż i ojczyznę. Początkowo kierowano mnie do służby wartowniczej, był to taki okres próbny czy aby się nadam. Nasza baza mieściła się na starej strzelnicy 22 pułku

za Wiśniewem. Mieliśmy na wyposażeniu bardzo dużo broni, w tym najnowsze wtedy niemieckie rkm, tzw. suki. Kiedy już uznano, że nadaję się do uczestniczenia w działaniach bojowych zacząłem chodzić na akcje. Przeważnie atakowaliśmy pociągi linii Siedlce-Łuków. W tej bazie było nas zwykle tylko kilkunastu, ale przed zaplanowanym wypadem z okolicznych wiosek schodziło się nieraz i 50-ciu chłopaków.

Pamiętam, jak podczas jednej z "kolejówek" zatrzymaliśmy pociąg z uzbrojeniem, ale w tym samym czasie z przeciwka jechał pociąg urlopowy. Trzeba było odskoczyć trochę do tyłu. Jeden z chłopaków, o pseudonimie "Ładny", widać nie usłyszał sygnału, a może przysnął, został. Żeby leżał bez ruchu może udałoby mu się uratować, ale on zerwał się i strzelił do Niemca. Od pociągu poszła salwa i "Ładnego" położyło. Był ciężko ranny i nie mógł uciekać. Żeby nie dostać się w ręce hitlerowców zastrzelił się. Miałem wtedy lornetkę i wszystko widziałem.

Niemcy domyślali się, że nie zostawimy tak kolegi i zastawili pułapkę. Rozebrali zabitego, żeby go było łatwiej w nocy obserwować, a w pewnej odległości ustawili karabany maszynowe. We dwóch poszliśmy po niego. Cały czas czołgaliśmy się między rzędkami jeszcze nie wzeszłych kartofli. Przenieśliśmy zmarłego na jakąś pałatkę i powolutku wycofywaliśmy się do skraju pola. Dopiero po przesunięciu się o ponad sto metrów Niemcy zorientowali się, że coś się dzieje i zaczęli strzelać. My wtedy daliśmy dyla ku swoim. Komendant polecił otworzyć ogień i ku niemieckim stanowiskom posypały się strzały, które zupełnie ich zdezorientowały, bo broń mieli wycelowaną w linię lasu, a my przyszliśmy od strony wsi. "Ładnego" z honorami, z księdzem pochowaliśmy na cmentarzu w Wiśniewie.

Chciałbym przypomnieć inne wydarzenie wiążące się z osobą komendanta Batalionów Chłopskich rejonu Wiśniew, por. Grzebisza, pseudonim "Wicher". W czerwcu 1944, tuż przed nadejściem frontu, Niemcy zorganizowali obławę na niego. Kiedy byliśmy w naszej bazie przybiegł goniec ze wsi z informacją, że okrążono wieś i prawdopodobnie puszczą ją z dymem. Ponieważ w tym okresie hitlerowcy pogonieni przez Rosjan wiedzieli, że to już koniec ich panowania, mogli posunąć się do wszystkiego. Komendant "Cezary" od razu zarządził alarm i polecił ustawienie ckm jakie posiadaliśmy i przygotowanie się do boju. Ostrzał przyhamował nieco zapędy wehrmachtowców, którzy ostrzelewając się weszli do wsi. Ich plany się nie powiodły, a że nie znaleźli por. Grzebisza to spalili jego dom, a w nim żonę będącą w ciąży. Wydaje mi się, że siła ognia, jaką dysponowaliśmy, powstrzymała Niemców od innych okrucieństw.

Z wielu sytuacji, w jakich brałem udział, chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej, może mało znaczącej dla walki z okupantem ale niezwykle znaczącej dla moich powojennych losów. Kiedyś z kolegą "Sępem" poszliśmy do Wiśniewa, jak to się mówiło, na kawalerkę. Zaszliśmy do sklepu, gdzie można było kupić coś do zjedzenia i wódkę. Zamówiliśmy co trzeba i weszliśmy do pokoju przylegającego do sklepu. Nagle kolega zawołał sprzedawczynię i polecił się jej napić mówiąc: "Pij, bo to twój ostatni". Jednocześnie wyciągnął broń. Nie wiedziałem co się dzieje, nie słyszałem o żadnym poleceniu likwidacji tej kobiety, podbiłem dłoń "Sępa" i pocisk poszedł w sufit. Po powrocie zameldowałem o wszystkim komendantowi, który bardzo surowo ukarał niesubordynowanego żołnierza. Wtedy nie przywiązywałem do tego wydarzenia większego znaczenia, ale najbliższa przyszłość pokazała, że kobieta ta okazała mi pomoc, kiedy znalazłem się w tarapatkach.

Pod koniec lipca front minął nas, ten rejon Podlasia był wolny. Prawie natychmiast obsadzano naszymi ludźmi organa i milicję. Porucznik Grzebisz został mianowany zastępcą komendanta powiatowego MO. Nasz dowódca pozostał w konspiracji. Pozostawił ze sobą tylko kilku ludzi, którzy mieli zakonserwować i ukryć broń - reszta poszła do domów, część wstąpiła do wojska. Ci, co pozostali, otrzymali rozkaz niewszczywania żadnych działań przeciw Armii Czerwonej. Ja byłem razem z dowódcą i miałem dozorować magazyn w Wiśniewie. Nagle dowiedziałem się o aresztowaniu i Grzebisza i Sochackiego. Komendant wiśniewskiej milicji - Jurzyk nic mi nie mógł wyjaśnić. Nie wiedziałem, co robić.

Postanowiłem pojechać do Siedlee. Zupełnie przypadkowo spotkałem oddział Wojska Polskiego, którym dowodził oficer. Poprosiłem o rozmowę. Wyjaśniłem, kim jestem i dodałem, że chcę wstąpić do wojska. Zostałem wysłuchany i umówiliśmy się, że pomoże mi on w zaciągu - miał czekać przed koszarami. Noc miałem spędzić u gospodarza o nazwisku Sprzączek. Wieczorem rozłożyłem na kocu swojego "Visa", żeby go przeczyszczyć, aż tu z hukiem otwierają się drzwi i wpada wspomniany wcześniej Jurzyk i dwóch żołnierzy rosyjskich z bagnetami na broni. Z miejsca łapią mojego gospodarza pod pachy, ale Jurzyk wyjaśnił pomyłkę. Podbiegli do mnie. Spojrzałem w okno, aby ocenić szanse ucieczki - za szybą stał kolejny żołnierz z wycelowanym karabinem. Skrępowano mi ręce i zażądano wskazania magazynów broni. Kręcić nie było można, bo po pierwsze zatrzymano mnie z bronią, a po drugie Jurzyk wiedział trochę o moich zadaniach. Było to 26 października 1944 roku.

Ręce skrępowano mi do tyłu i polecono wskazanie ukrytej broni. Przypomniałem sobie, że niedaleko jest bróg, w którym zostawiliśmy tzw. obciążenia, czyli sprzęt nienadający się z różnych przyczyn do użytku. Kiedy już prowadzono mnie w tym kierunku uświadomiłem sobie, że obok mieszka nasz człowiek. Eskorta, jakby czytając w moich myślach, ruszyła najpierw w kierunku jego zabudowań, ale on zdążył się zmyślnie ukryć. Kiedy żołnierze zaczęli przeszukiwać mieszkanie spróbowałem rozluźnić więzy i ... zaczęło się to udawać. Kiedy już całkiem zeszedł pchnąłem wartowników i wyskoczyłem na zewnątrz. Odbiegłem może sto metrów, gdy padły pierwsze strzały. Jeden pocisk utkwiał mi w udzie - mam go jeszcze do dziś. Upadłem. Podbiegli żołnierze i zaciągnęli mnie do brogu. Znaleźli to czego szukali, ale nie zadowolili się tym i dokładniej czesali stóg. Odkryli to, o czym i ja nie wiedziałem - na spodzie leżały skrzynie z granatami gotowymi do użycia.

Posadzono mnie na budzie ciężarówki, a konwojenci cały czas trzymali karabiny z bagnetami tuż koło mojej piersi, jakby przypuszczali, że będę w stanie ponowić próbę ucieczki. W Wiśniewie wrzucono mnie do obory należącej do sklepowej, której kiedyś uratowałem życie. Pozwolono jej, o co prosiła, założyć mi opatrunek z prześcieradła. Był to jedyny zabieg sanitarny, jaki wykonano mi przez kilka tygodni.... Potem przerzucono mnie do Krześlina i ulokowano w ziemiance. Przez kilka dni byłem z lotnikiem angielskim, ale nie potrafiłem się z nim porozumieć.

Choć przydzielono mi jakieś mikre porcje żywnościowe, to nie mogłem ani jeść, ani wypróżnić się. Rana po kuli zaogniła się, pachwiny popuchły uniemożliwiając oczyszczenie fizjologiczne organizmu. Śmierdziałem jak padlina. Opatrunek zgnił od ropy i wody, która przez cały czas utrzymywała się w ziemiance. W końcu zainteresowano się mną. Na linach wyciągnięto mnie z tej dziury i taczka dowieziono na przesłuchanie - było to chyba w grudniu, na początku. Określono mnie jako bandytę działającego czynnie przeciw Armii Radzieckiej. Przyznałem się jedynie do przynależności do AK. Ostatecznie zakwalifikowano mnie do art. 58 § 2, czyli zbrojne występowanie przeciw władzy. Przewieziono mnie do Siedlec i osadzono w podziemnych celach więzienia. Kolejne przesłuchania, bicie... Szykowano mnie na rozwałkę

Pewnej nocy pękły jakieś biologiczne hamulce i zawartość moich trzewi wylała się ze mnie. Był to potworny ból, ale potem poczułem się znacznie lepiej - jakbym się na nowo narodził. Na dalsze przesłuchania prowadzono mnie pod rękę. Spotkałem tam por. Sochackiego, który potwierdził moją niewinność i powiedział, że będąc moim dowódcą bierze na siebie wszystkie konsekwencje tego, co robiłem: "On wykonywał moje rozkazy". - zakończył. Nic to jednak nie dało. Mimo ponowienia śledztwa odbył się sąd. W jego składzie zasiadali członkowie kontrrozwiatki, czyli wojskowego kontrwywiadu, o nazwie potocznej "Smiersz" - skrót od hasła "Śmierć szpionom". Oskarżonych było 9. Grzebisza, Tajcherta, Sochackiego i Haukego skazano na śmierć. Reszcie, jako szeregowym członkom podziemia, orzeczono 10 lat więzienia i 5 lat pozbawienia praw publicznych.

Tak na marginesie dodam, że wielu akowców w pierwszym okresie po aresztowaniu traktowano jako jeńców wojennych. Praktyka bardzo osobliwa i niczym nie uzasadniona.

U schyłku grudnia 1944r. razem z innymi przewieziono nas samochodami, z napisem po rosyjsku "Chlieb" do twierdzy brzeskiej. Iluż tam było skazańców! Nawet stać nie było gdzie! Było tam wielu oficerów radzieckich, których pozbawiono dystynkcji i pasów. W końcu sformowano transport i wsadzono do wagonów-więźniarek. Napchano nas niemożliwą ilość, a na dodatek musieliśmy się przemieszczać od ściany do ściany podczas niezliczonych kontroli tzw. prowierek, sprawdzania stanu. Cóż to była za koszmarna podróż! Skład co kilkanaście kilometrów odchodził na boczny tor. W nieopalanym wagonach ludzie słabli, jak muchy. Co postój kilku kolegów ubywało. Po trzech tygodniach dojechaliśmy do Orszy. Przez ten cały czas nie dostawaliśmy nic do jedzenia poza pajdą chleba, a i to nie co dzień, oraz "kipiatkiem" czyli wrzątkiem z parowozu. Wszy i choroby zebrały swoje tragiczne żniwo. Ostatecznie po przybyciu na miejsce przesadzono nas na samochody i zawieziono do Kusowa, gdzieś między Orszą, a Smoleńskiem.

Cały niby-obóz stanowiły połączone dwoma rzędami drutów, za którymi co pięćdziesiąt metrów paliło się ognisko. Spaliśmy na śniegu i dopiero sami mieliśmy narąbać drzewa na budulec. Zatrudniano nas przy kopaniu piachu i wylewaniu szosy asfaltem. Robota była potwornie ciężka fizycznie i na dodatek przy trzaskających mrozach. Myślałem, że nachodzi mój koniec ... Chleba nie było nawet po tygodniu. Strzegący nas żołnierze wiosną zrywali pokrzywę i z tego gotowano coś w rodzaju zupy. Z Kusowa przewieziono mnie w głąb Syberii, do "Sybłagu" Morińsk. Już nie będę opisywał podróży -

była ona dokładnie taka sama, jak poprzednia. Zatrudniono nas w bazie przeładunkowej. Wywalaliśmy z wagonów szyny kolejowe o długości ok. 12m i ciężarze do 400kg. Nie było dnia, żeby komuś nie pokaleczyło ręk, albo nóg. Przebywałem tam do jesieni 1946r.

Życie w obozie miało swój ustalony rytm. Pobudka o godzinie 6, zjadane na szybkiego śniadanie, zbiórka i wymarsz piątkami do pracy. Wychodzących żegnała orkiestra obozowa (jak byłem w prawie trzydziestu obozach, to w każdym organizowano orkiestrę). Konwojenci żołnierze NKWD, zawsze nas ostrzegali, że wyłamania się z szyku spowoduje natychmiastowe użycie broni. Obiad dostarczano nam w drewnianych konwiach. Przeważnie była to woda zaprawiana mąką, suszone ziemniaki, albo kasza z prosa o obrzydliwym mydlanym smaku, nazywaliśmy ją "czimiza". Dzienna racja chleba wynosiła 600g, ale i po dwa tygodnie nikt go nie widział. Zresztą był to chleb tylko z nazwy. Bóg wie z czego go wypiekano, ale nam pachniał, jak najlepszy razowiec. Wyróżniający się w pracy, obozowi "stachanowcy" mogli dostać racje dodatkowe, ok.250 gram.

W ciągu dnia przeszukiwano nas i liczone kilkanaście razy. Znalezienie u kogoś ołówka było dla niego bardziej niebezpieczne, niż posiadanie noża. Jeden z moich kolegów został osadzony na dwa tygodnie w karcerze za posiadanie tego przyboru i spisywanie obozowego pamiętnika. Pisał go na skrawkach worków po cemencie. Posiadacz książki mógł uważać się za milionera - z jej stroniec robiono skręty. Każdy skazaniec miał koszulę, spodnie i buty do których zimą dokładano waciac. Na wierzchnim ubraniu ponaszywane były szmatki z numerami. Ja nosiłem symbol BH 872.

Co mi najbardziej utkwilo w pamięci z wystroju obozu, to porozwieszane wszędzie portrety Stalina i stosowane hasła propagandowe. Nie było pojazdu, obojętnie samochód, lokomozywa, przyczepa, żeby nie było tam tej propagandy. W i na barakach podobnie. Dość często przyjeżdżało kino objazdowe, ale na oglądanie wyciągano za nogi. Nikt nie chciał oglądać tej masówki. Woleliśmy wyspać się po pracy. Przecież nie było dla nas dni wolnych od niej. Wszystkie święta były na papierze.

Specyfiką pobytu w łagrach były stałe rotacje mające zapobiec konsolidacji osadzonych. Przez długi czas byłem jedynym Polakiem w kolejnych miejscach pobytu. Siedziały tam chyba wszystkie nacje: od Chińczyków przez Słowian wszystkich języków i Pribałtyjców do Francuzów. Na dodatek politycznych przemieszano z kryminalistami,

co jeszcze bardziej pogłębiało poczucie niepewności i stałego zagrożenia. Władze obozowe starały się mieć pełną informację o nastrojach i wykorzystywały do tego celu prowokatorów, kapusiów, których nazywaliśmy "sukami". Byli oni bezwzględnie niszczeni przez wszystkich więźniów. Często po prostu śpiącemu zarzucano na szyję mokry ręcznik i było po wszystkim. Solidarnie ukrywaliśmy sprawców. Zdarzały się wystąpienia zbiorowe, jak na przykład głodówki, ale ich wynik był zawsze z góry przesądzony. Zmieniano co najwyżej komendanta który przede wszystkim zabierał się do wykrycia i ukarania prowodyrów. Wszystko inne wracało do "normy".

Bywały próby ucieczki, ale pryskali głównie Rosjanie. Wtedy cała brygada była sadzana na ziemi i oczekiwała na wynik poszukiwań. Czasem to i dwa dni schodziło na oczekiwaniu. Wielu nie mogąc wytrzymać warunków pobytu decydowało się na odebranie sobie życia. Zresztą gdzie tam można uciec? Ten, kto nie widział tajgi, nie ma pojęcia co to znaczy decydować się tam na ucieczkę. Nie znałem takiego, któremu się udało. Często, zanim dobrze "rozwinął skrzydła", to już go doprowadzili okoliczni chłopci. Nagrodą było 2 lub 3 pudy chleba. Nie można się im dziwić. To był terror. Strzegący nas enkawudziści nawet między sobą nie rozmawiali. Znam jeden przypadek, gdy za krytykę wydawanej zupy cywil dostał się na kilka lat do łagru! Poza tym okropny głód, jaki był w tym czasie w całej Rosji, w jakiś sposób usprawiedliwiał chłopów. Mieli do wyboru, albo kilka kilogramów dodatkowego chleba dla rodziny, albo samemu trafić za druty, gdyby się wydało, że nie zawiadomili władz o miejscu pobytu uciekiniera.

Będąc w obozie każdy szukał pracy, która wymagałaby jak najmniej wysiłku fizycznego. W szczególności miałem szczęście. Kiedyś komendant obozu szukał "piecznika", czyli zduna. Na kucharza lub piekarza znalazłoby się setki chętnych. Tym razem zgłosiłem się sam choć nie miałem pojęcia o tej robocie - chciałem przede wszystkim odpocząć. Dobrałem sobie dwóch pomocników, ale i oni nie byli mądrzejsi ode mnie. Tylko dzięki instruktarzowi jakiegoś Białorusina udało nam się zrealizować budowę, ale nijak nie chciało się w tym piecu palić. Akurat kiedy ziemianka była pełna dymu wpadł komendant i mało się nie wściekł. Sygnał na wymarsz do właściwego obozu po zakończeniu pracy uratował nas. Białorusin poradził nam, żeby w komin wsadzić dziś trochę papieru dla spowodowania ciągu. Pomogło, piec grzał jak należy. Komendant skierował mnie do swego pokoju

z poleceniem postawienia nowego pieca, ale tym razem.... okrągłego. Ale i to nam się udało zrobić. Przy jednej z rozmów okazało się, że dziadek komendanta był Polakiem. Gdy dowiedział się, że i ja też jestem Polakiem, zostałem skierowany do magazynu żywnościowego. Na jakiś czas skończyła się moja udręka. Potem, gdy przybywało "etapem" dwóch rodaków pomagałem im, jak umiałem. Nie było to łatwe, bo ciągle nas rewidowano, a z magazynu pod karą nie wolno było niczego wynosić.

Pracowałem w kilkunastu różnych zawodach. Czasem robiliśmy coś co dziś można by uznać za groteskowe, gdyby nie realia. Kiedyś dla przykładu, dla umożliwienia przejazdu traktorów na "lesopowal", kilkuset więźniów przegoniono kilka razy po drodze, aby ugnietli śnieg i dali drogę dla sprzętu Innym razem kopaliśmy szpadlami kartofle na polu pokrytym śniegiem

Miałem też przygody niebezpieczne. Dla przykładu jeden ze strażników zaczął ze mną rozmowę, która (nie wiem dlaczego) wyzwoliła w nim wrogość. Ponieważ dawał on do zrozumienia, że chce strzelić do mnie, po przyjeździe do obozu poprosiłem jednego z Rosjan, abym jutro nie musiał iść do pracy w to samo miejsce. Ten zrozumiał mnie i zgodził się. Po kilku dniach, gdy uznałem, że już nie ma niebezpieczeństwa, poszedłem z moją brygadą. Mój prześladowca był na swoim miejscu. Kazał mi przynieść drzewa, co wiązało się z opuszczeniem strefy pracy, czyli że mogli do mnie strzelić bez żadnych skrupułów. Odmówiłem. Zauważyłem, że wodzi za mną karabinem. Poprosiłem kolegów, żeby ciągle stali obok mnie uniemożliwiając strzał. Wtedy wartownik zszedł zostawiając broń. Podszedł do mnie, odwrócił do innego wartownika i krzyknął: "Strielaj!" Zanim pomyślałem co robię, odchyliłem się i chwyciłem żołnierza pod pachy odkręcając się w kierunku posterunku. Trzymałem go tak blisko dwie godziny do momentu przyjazdu komendanta obozu. Jak mi kazał puścić, to niedoszły "bohater" nie mógł ustać na własnych nogach.

Wiadomości z domu? Ani nie pisaliśmy, ani nic do nas nie docierało. Wiedzieliśmy, że korespondencja jest zatrzymana. W latach pięćdziesiątych, gdy pracowałem na "Spirtzawodzie", w wagonach z jęczmieniem znajdowałem paczki po papierosach "Sport" - to wystarczało za kontakt z Polską ...

Wiadomość o śmierci Stalina zastała mnie na lesopowale "Angarstroju". Zamiast ogłoszonej ciszy rozległ się ryk radości, łamano portrety, z uciechy padano sobie w ramiona. Co ciekawe, nawet żołnierze NKWD nie kryli zadowolenia i wołali do nas, że niebawem pojedziemy do domów.

Ale spełniło się to dopiero w kwietniu 1955r., kiedy oficjalnie nas, Polaków powiadomiono, że wracamy. Przebrani w rosyjskie mundury 22 maja rozpoczęliśmy drogę do domu. Nie obyło się bez wielu przygód i zaskoczeń. Wracaliśmy przez Mołdawię, gdzie niespodziewanie ponownie wzięto nas w konwój żołnierski i skierowano do kopania kartofli. W końcu, w styczniu znaleźliśmy się w Brześciu, przyjęła nas wojskowa misja Czerwonego Krzyża. Autobusami przewieziono nas do Tomaszowa Lubelskiego, mimo, że miałem do domu kilkadziesiąt kilometrów ponownie przesłuchiowano nas - tym razem oficerowie UB, którzy zalecali nie wspominać nikomu o naszych przejściach. Tłumaczono, że takie były czasy. Tajemnicę zachowałem aż do dziś.

© ARCHIWUM WSPÓDNIE

Henryk Borkowski
Krzesk Nowy
woj. siedleckie